



Kryminał z myszką

79

W pogardzie prawa

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

W POGARDZIE PRAWA

Kryminał z myszką – Tom 79

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-13-6

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1983, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Starzec szedł powoli, ciągnął nogi za sobą, przystając co kilka kroków. Jego długi, poplamiony płaszcz był rozpięty, plątał mu się poniżej kolan i owijał dokoła ceratowej torby, niesionej z widocznym trudem.

Doszedł do krawężnika, zatrzymał się chwilę, ale nie patrzył na światła sygnalne, głowę miał zwieszoną, jakby szukał czegoś na chodniku. Potem wszedł na jezdnię, zupełnie nie zważając na samochody. Milicjant, który od paru chwil przyglądał mu się z irytacją, teraz gwizdnął ostrzegawczo raz i drugi. W tym samym momencie szary opel-record z przeraźliwym gwizdem opon zahamował o kilka centymetrów przed starym, wydawało się, że maska wozu skoczyła do góry jak wspinający się i nagle powściągnięty koń.

Ktoś krzyknął, nadjeżdżające samochody zatrzymały się, blokując ruch. Wielki czerwony ikarus nawoływał klaksonem, kierowca autobusu niecierpliwił się, nie znał przyczyny korka. Milicjant był już przy starym człowieku, który spoglądał dokoła wyblakłymi oczami, i milczał. Z opła wysiadł mężczyzna wysoki, o bujnych, lekko falistych włosach, twarzy pociągłej, teraz trochę przybladłej.

– Ma pan refleks! – powiedział milicjant z uznaniem.

– I dobre hamulce – dodał jeden z przygodnych gapiów.

– Zobaczyłem go z daleka – głos kierowcy opła lekko drżał. – Na szczęście zdążyłem. No i nie było karambolu z innymi wozami.

Milicjant sprowadził starca na chodnik. Potem obejrzał się za tamtym, ale dostrzegł już tylko samochód odjeżdżający w błyskawicznym tempie. Uchwycił jedynie wzrokiem litery z tablicy rejestracyjnej: WAL, numer znikł mu z oczu. Zaklął pod nosem, zaraz jednak przyszło mu na myśl, że tak na dobrą sprawę, nie ma sprawy. Wypadku nie było, kierowca pewnie nie chce być wmieszany w jakiekolwiek dochodzenie, nikt tego nie lubi.

– No i co ja mam z panem zrobić? – mruknął, patrząc z niechęcią na starucha. – Dokumenty pan ma?

Ten skinął głową, trzęsącymi się rękami zaczął macać po kieszeniach. Wyjmował po kolei brudną chustkę, gazetę, paczkę papierosów, wreszcie znalazł wymiętą zieloną książeczkę, podał milicjantowi. Podoficer przejrzał ją dla porządku, wzruszył ramionami i oddał. Rencista, siedemdziesiąt osiem lat, mieszka niedaleko.

– Niech pan uważa na światła przy przejściu na drugą stronę ulicy! – pouczył z przyzwyczajenia. Zasalutował i odszedł. Wiedział, że właśnie tacy, jak ten stary, niedołączny człowiek najczęściej są ofiarami wypadków, bo z trudem docierają już do nich takie pojęcia, jak bezpieczeństwo ruchu drogowego, światła, pasy. A może – myślał potem – nie zależy im na życiu, bo przeżyli już wszystko, co chcieli?

*

Szary opel-record skręcił w boczną uliczkę, wjechał na parking. Kierowca zgasił silnik i siedział parę minut bez ruchu, jakby chciał ochłonać po tamtym wydarzeniu. Bądź co bądź, o mały włos nie przejechał człowieka. Wyciągnął paczkę marlboro, zapalił, puszczał dym przez uchylone okno i spoglądał przed siebie. Po drugiej stronie ulicy znajdował się mały prywatny bar, trochę była to kawiarenka, a trochę restauracja. Miała doskonałą kucharkę, ładny lokal, zadbane i przytulny. Ściągała tu zadowolona klientela, najczęściej z pobliskich placówek konsularnych i kilku przedsiębiorstw handlu zagranicznego.

Właściciel opła wiedział o tym wszystkim, gdyż bar prowadziła jego żona. On był tu niemal gościem, zresztą zawsze mile widzianym, gdyż wnosił ze sobą pogodny humor, uśmiech dla znajomych i nieznajomych, wiele życzliwych słów, które nic nie kosztują, a

sprawiają dobre wrażenie. Pomagał też czasami w dostawie towarów lub w sprawach finansowych, jeżeli pozwalał mu na to czas.

Wysiadł z wozu, zamknął go starannie, zabrał przedtem kilka paczek i wszedł do baru. Parę osób obejrzało się od stolików.

– Jakże miło znowu pana zobaczyć, panie Kaziu! – zawołał starszy pan, aktor z zawodu. Miał garbaty nos i czarne, krzaczaste brwi, najczęściej grywał role gangsterów i oszustów.

– Prosimy do nas, panie Kazimierzu – zawtórowała mu chuda, elegancka pani. – Tak dawno pana nie widzieliśmy, cóż to się działo?

Kłaniał się, ścisnął wyciągnięte w jego kierunku ręce, pytał o zdrowie, odpowiadał, wyjaśniał, nic nie wyjaśniając, gdyż w gruncie rzeczy nie był wylewny. Uśmiechał się do wszystkich, przeproszał, że bardzo się śpieszy i po chwili znikł na zapleczu baru. Jego żona, która zdążyła przed tymi powitaniem odebrać przyniesione paczki z towarem, wróciła za ladę. Z pewnością podobała jej się sympatia, jaką goście otaczali małżonka, a poza tym przysparzało to klienteli.

Płynnymi ruchami parzyła kawę, chowała pieniądze do podręcznej kasy i wydawała resztę, pytała, czy smakuje i martwiła się, jeżeli dostrzegła zaszępiłą twarz. Drobną i szczupłą, miała czarne włosy, gładko przyczesane, odsłonięte wysokie czoło i regularne rysy, wydawało się, że z taką urodą powinna przyciągać męskie oczy, ale tak nie było. Dziwnym trafem goście i personel woleli pana Kazimierza. Od pani Danuty bił jakiś chłód wewnętrzny, trzymający ludzi na dystans.

Ruchem głowy przywołała za ladę jedną z kelnerek, sama weszła do kuchni.

– Zjesz coś? – spytała.

Kazimierz zawahał się, spojrzał na zegarek.

– No dobrze – odparł. – Pirożki i kawę.

– Znowu się spieszysz?

Zabrzmiało to jak wyrzut.

– Mam robotę – rzucił obojętnie. Przysiadł do małego stolika w kuchni, zaczął jeść. Przez uchylone drzwi zajrzał zaprzyjaźniony gość.

– Pani Danusiu, czy nie było dziś Janka Zawadowskiego? Wie pani, taki chudy, z wąsikami i smutną twarzą?

– Nie, już od paru dni – odpowiedziała. – Podobno chory. Ktoś mówił, zniżyła głos do szeptu – że chciał popełnić samobójstwo.

– On?! A cóż mu do szczęścia brakowało?

– Podobno wpłatał się w jakieś brzydkie sprawy.

– Trudno uwierzyć. Coś podobnego! – Gość szybko ulotnił się z kuchni.

Kazimierz zjadł, wypił kawę, rozejrzał się po twarzach, uśmiechnął do kucharki. Nałożył kurtkę i z papierosem w ustach, nie chcąc już wywoływać zamieszania na sali, wymknął się bocznymi drzwiami do samochodu.

*

W pokoju panował półmrok, paliła się tylko mała lampka przy tapczanie. Cicho grało radio. Człowiek, leżący w pościeli, miał przymknięte powieki, ręce bezwładnie wyciągnięte wzdłuż ciała. Szare, zapadnięte policzki i jakaś przerażająca sztywność rysów robiły wrażenie, że jest martwy, choć przeczył temu płytki, ledwie dostrzegalny oddech.

Nie poruszył się, kiedy ktoś ostrożnie uchylił drzwi. Do pokoju wsunęła się kobieta w stroju pielęgniarki, ze szklanką herbaty na tacy. Postawiła ją na bocznym stoliku, nasypała trochę cukru, wcisnęła pół cytryny, dotknęła brzegu szklanki i zmarszczyła nos.

– Za gorąca – szepnęła do siebie.

Chory usłyszał to widać, bo otworzył oczy i spojrzał przytomnie.

– Przyniosłam herbatę – powiedziała pielęgniarka. – Trzeba popić lekarstwo. Jak pan się czuje?

Nie odpowiedział. Wodził wzrokiem po ścianach i meblach, coś sobie może przypominał, albo układał w pamięci, chwilami brwi ściągały mu się w bolesnym zdziwieniu. Kobieta usiadła na brzegu tapczana.

– Czuje pan się trochę lepiej? – zapytała. – Zaraz podam tabletki i herbatę.

– Dlaczego ja leżę? – odparł pytaniem. – Jakie tabletki?

– Jest pan przecież chory. Doktor przepisał lekarstwa.

Patrzył teraz na nią, wzrok miał uważny i nieprzychylny.

– Kim pani jest? Co pani tu robi?... A w ogóle, gdzie ja jestem?

– Ależ u siebie w domu! Wprawdzie lekarz chciał, żeby do szpitala, ale pani się nie zgodziła.

– Kto?

– No, żona. Pani Zawadowska... Pani Irena.

– Przecież ja me mam żony! – odburknął, próbując unieść się na łokciach, ale nie potrafił, był zbyt słaby. Pielęgniarka z zawodową stanowczością i wprawą ułożyła go z powrotem na poduszce, poprawiła jedwabną kołdrę.

– Proszę leżeć spokojnie – strofowała. – Któż to widział mówić tak nieładnie o własnej żonie. Taka miła, dobra kobieta, płakała, kiedy pan... No, mniejsza. Proszę połknąć te dwie tabletki i wypić herbatę – podawała leki, ale przekrzywił głowę na bok.

– Nic nie będę brał. Chcę najpierw wiedzieć, kto mnie tutaj przywiózł i dokąd. Co to za Irena? Ja się wcale nie nazywam Zawadowski, ja się nazywam... nazywam – umilkł nagle, twarz jego przybrała wyraz nieopisanego przerażenia.

– Proszę się uspokoić...

Patrzył na nią w osłupieniu, wargi mu drżały. Wreszcie wykrztusił z trudem:

– Ja nie wiem, jak się... Ja... O, Boże, kim ja jestem?!

W sąsiednim pokoju rozległy się spieszne kroki, weszła młoda blondynka w szlafroku, nieuczesana, blada, oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte. Usiadła z drugiej strony tapczanu, ujęła chorego za rękę. Z trudem powstrzymywała łzy.

– Jasieczku, uspokój się, kochany – szeptała. – Jesteś w domu, u siebie, ja jestem przy tobie, wszystko już będzie dobrze. Proszę cię, weź lekarstwo, przecież chcesz być zdrowy, prawda?

Przyglądał jej się z naprężoną uwagą, marszczył brwi, potem niechętnie odwrócił wzrok.

– Pani jest lekarką? – spytał. – To jest szpital czy jakaś klinika?

– Nie poznajesz mnie? To ja, Irena, twoja żona! Jaśku... Janku, popatrz na mnie. Przypomnij sobie, błagam cię! – zaszlochała żałośnie. – Musisz pamiętać, kim jesteś i gdzie. To jest twój dom, leżysz w swoim pokoju...

– Jak pani się nazywa?

– Tak jak ty: Zawadowska, Janku!

– To nazwisko nic mi nie mówi. Pani twarz również. Chcę jechać do mojego domu! – krzyknął. Zaczął rwać na sobie piżamę, musiały go powstrzymywać, bo stoczyłby się z tapczanu.

Pielęgniarka z dezaprobatą potrząsnęła głową, podeszła do stolika. Strzykawka, igły jednorazowego użytku, ampułki z lekarstwami, wszystko miała już przygotowane. Gorzej było z chorym, który bronił się przed zastrzykiem z siłą, o którą go nie podejrzewała, tak do tej pory wydawał się słaby. Wspólnym wysiłkiem czworga rąk, a trochę i kolan, zdołały wreszcie unieruchomić go, pielęgniarka zagłębiła igłę w mięśniach, przezroczysty płyn powoli spływał w ciało. Skutek był niemal natychmiastowy, mężczyzna przymknął powieki i zasnął.

– O której przyjdzie doktor Balicki? – spytała Irena, patrząc na zegar ścienny; dochodziła północ.

– Powiedział, że jak tylko skończy ranny obchód w szpitalu, gdzieś koło dziesiątej, wpół do jedenastej. – Pielęgniarka ocierała spoconą twarz. – Proszę się teraz położyć, on będzie długo spał. Ja muszę o jedenastej być w szpitalu, a panią czeka cały dzień przy chorym.

Lekarz zjawił się w mieszkaniu Zawadowskich kilka minut po dziesiątej. Wymienił fachowe uwagi z pielęgniarką, która zbierała się do wyjścia. Irena, niewyspana i zdenerwowana, zaprowadziła go do sąsiedniego pokoju, podała kawę i opowiedziała, co zdarzyło się w nocy.

– Przecież to niemożliwe, żeby tak nagle stracił pamięć! – mówiła z drżeniem w głosie. – On nie poznaje ani mnie, ani swego pokoju. Może to skutek tych zastrzyków?

Lekarz zaprzeczył ruchem głowy. Był już niemłody, doświadczony, a co najważniejsze życzliwy dla pacjentów.

– Zastrzyków, w żadnym wypadku. Ale może to być rezultat trucizny, którą zażył. Zdarza się, co prawda bardzo rzadko, że tak właśnie człowiek reaguje na tutokainę. Nie domyśla się pani, skąd mąż dostał ten środek znieczulający?

– Zupełnie nie. Ale przecież jest chemikiem. Pracuje w spółdzielni farmaceutycznej, chyba tam to mają. Tutokaina? Co to jest?

– Jako laikowi – uśmiechnął się do niej – powiem tylko, że środek podobny do nowokainy. Działa znieczulająco. Powoduje, prócz takich objawów jak drgawki i likwidacja odruchów, również niepamięć wsteczną.

– To przejdzie?

Widział, że zawisła wzrokiem na jego ustach, może sądziła, że lekarz jest wyrocznią i nie może się mylić. Jakby to było dobrze – pomyślał i odpowiedział jej, że powinno minąć bez śladu, choć wcale tego nie był pewien.

– Jaka była przyczyna targnięcia się na życie? – spytał. – Do tej pory to pani była moją pacjentką, a nie mąż. Nie chciałem się wdziarać w wasze osobiste sprawy, ale może cierpiał on na jakąś chorobę, którą ukrywał przed otoczeniem. W wielu stanach psychicznych człowiek potrafi sobie też wmówić, że ma na przykład raka, co wcale nie jest prawdą.

– To nie choroba – odparła Irena. – Jego rzeczywiście coś gnębiło od pewnego czasu, ale nie chciał mi nic powiedzieć. Raz widziałam, że spalił jakiś list. Były dziwne telefony, po których Janek chodził po domu roztrzęsiony, milczący. Nie, doktorze! Wiem, o co chce pan teraz zapytać. Myśmy byli... to znaczy, jesteśmy bardzo dobrym małżeństwem i żadne z nas nie zaplątało się w konflikty sercowe czy seksualne. Tego jestem pewna.

Doktor pomyślał, że tego właśnie nikt w małżeństwie nie może być pewny, ale i tę uwagę schował dla siebie. Chciał się jeszcze czegoś dowiedzieć, kiedy u drzwi rozległ się natarczywy dzwonek.

– Przepraszam, pójde zobaczyć.

Wyszła do przedpokoju, a doktor Balicki wrócił do chorego, ale ten ciągle spał po silnym środku uspokajającym. Siadł więc obok tapczanu, przyglądając się to obrazom na ścianach, to pięknym, starym meblom. Z przedpokoju doszedł go czyis podniesiony, zirytowany głos, do którego zaraz dołączył drugi. Starła się je uciszyć pani Zawadowska, ale bez rezultatu. Po chwili drzwi otworzyły się i do sypialni wtargnęło raczej, niż weszło dwóch mężczyzn.

– To niesłycha... – zaczął jeden z nich i urwał na widok tego, co zobaczył.

– Panowie, na miłość boską, nie budźcie go! – Mówiła Irena półgłosem – mąż dostał środek nasenny, jest bardzo chory. Proszę przejść do tamtego pokoju.

– Zaraz! Chwileczkę – drugi z mężczyzn zbliżył się i pochylił nad chorym, ale w tym momencie lekarz uznał, że ma nie tylko prawo, lecz i obowiązek wmieszać się w sytuację.

– Pan wybaczy – stanowczym ruchem odsunął przybysza i zajął przy tapczanie pozycję obronną.

– A pan kto? – rzucił natręt. – Rodzinka, co?

– Nie. Jestem lekarzem, nazywam się Balicki i oświadczam, że nie dopuszczę do żadnych incydentów w tym pokoju. To jest mój pacjent, człowiek ciężko chory, opiekuję się nim.

– Jak ciężko chory, to czemu nie w szpitalu? – zaczętnie spytał drugi mężczyzna.

– To sprawa moja i pani Zawadowskiej. Być może, że jeszcze dzisiaj będę musiał dać mu skierowanie do szpitala, ale tymczasem proszę opuścić pokój.

– Swoją drogą, wygląda fatalnie – zauważył młodszy z przybyłych. – Czy on w ogóle żyje? Bo wcale się nie rusza.

– Proszę stąd wyjść! – krzyknął doktor. Miał porywcze usposobienie i nie hamował go, jeżeli wiedział, że ma rację. Dostrzegł nagle błąd na twarzy Ireny, więc dorzucił groźnie: – żyje i przeżyje nas wszystkich! Proszę opuścić pokój, bo wezwę milicję.

– Milicję, to myśmy już wezwali – rzekł starszy z mężczyzn. – Tylko jeszcze nie tutaj. Ale dobrze, wyjdziemy gdzieś obok, on i tak śpi, więc trudno rozmawiać! Pani pójdzie z nami – zwrócił się do Ireny.

– Jestem u siebie – odparła z urazą. – I zrobię to, co sama uważam za stosowne.

– Ja tu zostanę, ale jeśli zajdzie potrzeba, niech pani mnie zawoła – zagroził doktor jeszcze raz.

– Za kogo pan nas ma? – oburzył się ten starszy.

Kiedy znaleźli się w sąsiednim pokoju, był to rodzaj salonu czy jadalni, starszy wiekiem powiedział z pewnym zażenowaniem:

– No, przepraszam panią, rzeczywiście wypadło to jakoś...

– Może nareszcie dowiem się, o co chodzi i kim panowie są? – przerwała.

– Już mówiłem, zaraz po przyjściu, jesteśmy ze spółdzielni „Nowa Przyszłość”, pani mąż przecież u nas pracuje od paru lat.

– Niestety, nie znam panów.

– Jestem wiceprezesem, nazywam się Malewski, to jest magister Nowak z kontroli wewnętrznej. A sprawa przykra. Bardzo przykra. Pan Zawadowski tak jakoś nagle zachorował trzy dni temu, nawet nie dał znać, nie zadzwonił.

– Mąż rzeczywiście zasnął nagle. Miał zapaść, stracił przytomność.

– Tak. Cóż, zdarza się, chociaż dziwne, że akurat teraz...

– Co to znaczy: akurat teraz?

– Dobrze, będę mówił otwarcie. Wczoraj mieliśmy kontrolę z jednostki nadrzędnej.

Pani mąż, jako starszy inspektor do spraw technicznych, dysponował kluczami do podręcznego magazynu surowców i półfabrykatów. Są to przede wszystkim pochodne kwasu węglowego, środki nasenne, chlorki... zresztą, mniejsza o to. Najważniejsze, że znajdują się tam również alkaloidy takie, jak morfina, kokaina, heroina i podobne. Pani chyba orientuje się, do jakiego stopnia.

– Orientuję się – ucięła. – Ale wciąż nie rozumiem, o co chodzi.

– Kontrolowaliśmy ten magazyn – wyjaśniał magister Nowak. – Brakuje około dwunastu kilogramów specyfików, zwłaszcza tych najcenniejszych.

– I najgroźniejszych – dodał Malewski.

– Ale przecież... chyba nie tylko mój mąż miał klucze do tego magazynu!

– Nie tylko. Rzecz jednak w tym, że jego zastępca, kolega Lisowski, od trzech miesięcy znajduje się za granicą, w krajach afrykańskich załatwia sprawy naszego eksportu. W przeddzień jego wyjazdu, wraz z panem Zawadowskimi, kolegą Nowakiem i jeszcze jednym z inspektorów dokonaliśmy spisu wszystkich specyfików, znajdujących się w magazynie. Od tego dnia klucze miał wyłącznie pani mąż. Porównaliśmy teraz książkę rozliczeń i wydawania

różnych środków ze stanem faktycznym. Brakuje, jak już kolega Nowak powiedział, dwunastu kilogramów. Gorzej, bo przy bliższym skontrolowaniu opakowań stwierdziliśmy, że w niektórych z nich surowce były po prostu podrobione.

– Co to znaczy? – spytała zdumiona.

– To znaczy, że w jednym znajdował się zwykły cukier, w innych jakiś obojętny, bezwartościowy proszek lub płyn, powiedzmy, woda destylowana.

Przez chwilę trwało milczenie. Irena patrzyła na obu mężczyzn ze wzrastającym przerażeniem. Nie była w stanie, nie mogła tego zrozumieć. A więc Janek nie tylko zabierał – w myślach nie potrafiła użyć słowa: „kraść”, ale i oszukiwał!

– To dlatego... – urwała. Nie, o próbie samobójstwa im nie powie.

– Chciała pani powiedzieć, że dlatego w końcu rozchorował się? – spytał Malewski.

– Sumienie go ruszyło! – burknął Nowak.

– Zostaw – zmiłtygował go wiceprezes. Popatrzył na bladą, jakby zmartwiałą twarz Ireny, zrobiło mu się jej żal. – Pani nic o tym nie wiedziała?

– Absolutnie nic.

– Cóż, przykro mi. Proszę jednak zrozumieć sytuację spółdzielni. Naszym obowiązkiem było powiadomić o wszystkim prokuratora. Zrobiliśmy to dopiero dziś rano, bo sądziłem... miałem nadzieję, że pan Zawadowski przyjdzie i jakoś wszystko wyjaśni, chociaż, co tu można wyjaśniać. Nikt u nas nie ma prawa wynosić poza zakład ani grama specyfików czy surowców, a w dodatku te karygodne oszustwa, bo trudno to inaczej nazwać! Sprawdziliśmy zresztą, czy akurat te opakowania były w magazynie przed wyjazdem kolegi Lisowskiego. Niestety, nadeszły do nas dopiero w dwa tygodnie po jego wyjeździe. Tak więc całkowita odpowiedzialność za braki i oszustwa spada na pani męża.

Doktor Balicki uchylił drzwi, spojrzał na Irenę.

– Zbudził się? – spytała trwożnie. Nie chciała, żeby weszli do sypialni i zaczęli domagać się wyjaśnień.

Lekarz zaprzeczył ruchem głowy. Dwaj przybysze spojrzeli na siebie, po czym odezwał się Malewski.

– Widzę, że w tej chwili nie będziemy mogli porozumieć się z panem inspektorem. Pewnie w najbliższych godzinach zjawi się tu ktoś z prokuratury lub milicji. – Zwrócił się do Ireny, zawahał, po chwili dodał ze zdziwieniem: – Wie pani, zupełnie nie mogę zrozumieć, jak on mógł to zrobić i dlaczego! Mielicie jakieś długie, jakieś gwałtowne potrzeby finansowe?

– Nie. Żadnych długów.

– Bo chyba – znów się zawahał, spojrzał na nią spod oka – mąż nie jest narkomanem?

– To, co mogłem stwierdzić w trakcie badania chorego – wtrącił doktor – nie nasunęło mi żadnych skojarzeń z zażywaniem środków psychotropowych. Zażywaniem nagminnym, a w każdym razie częstym – dodał.

– A pani, nic takiego u męża nie zauważyła? – spytał jeszcze Malewski.

– Zauważyłabym, gdyby tak było – odparła z naciskiem.

– W takim razie... w takim razie, nic nie rozumiem. Sprzedawał to komuś? Czy pani jest pewna, że tych specyfików nie ma w domu?

Zastanowiła się, milczała chwilę. W końcu odparła:

– Nie wiem. Nie szukałam, bo nie było powodu.

– Zresztą – Malewski jakby stracił nagle zainteresowanie całą sprawą – to już do nas nie należy. Tym się zajmie milicja.

Jakby na potwierdzenie jego słów, znowu odezwał się dzwonek u drzwi.

– Otworzę – powiedział Balicki i wyszedł do przedpokoju. Zaraz potem wrócił w towarzystwie mężczyzny średniego wzrostu o pociągłej, lekko opalonej twarzy, z której spoglądały uważne, chłodne oczy, tak czarne, jak tylko było to możliwe.

– Kapitan Połowski – przedstawił się krótko. – Chciałbym rozmawiać z panem Janem Zawadowskim. – Obrzucił wzrokiem całą czwórkę, zatrzymał go na kobiecie. – Pani Zawadowska?

– Tak. Ale mąż jest chory.

– Jestem jego lekarzem – wyjaśnił Balicki. – Pacjent miał zapaść i na razie nie widzę możliwości...

– Leży w szpitalu czy w domu? – przerwał oficer.

– Jest tutaj.

– Więc proszę mnie do niego zaprowadzić. – Ton głosu był grzeczny, lecz stanowczy. Dwaj przedstawiciele spółdzielni „Nowa Przyszłość” pożegnali się spiesźnie i ulotnili, a tamtych troje weszło do sypialni. Zawadowski patrzył na wszystkich z irytacją, nie poznawał nikogo. Domagał się „powrotu do domu”, to próbował wstawać, to szukał czegoś na kołdrze i pod poduszką. Kapitan obserwował go przez dobry kwadrans, wymienił kilka uwag z lekarzem, próbował też rozmawiać z chorym, ale bezskutecznie, wtedy rozejrzał się za telefonem, a po połączeniu się z Pałacem Mostowskich poinformował kogoś po drugiej stronie aparatu, jak sytuacja wygląda. Odłożył słuchawkę i powiedział, że niedługo przyjdzie lekarz z Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO, specjalista-toksykolog.

Balicki spojrzał na kapitana podejrzliwie.

– Toksykolog? – powtórzył. – Dlaczego?

– Dlatego – odparł Połowski – że według mojej niefachowej oceny stan chorego wskazuje na użycie jakiegoś środka toksycznego. Innymi słowy, była to próba samobójstwa albo otrucie, albo wreszcie nieszczęśliwy wypadek, ale o tym zdecydować musi lekarz.

Uwagi oficera nie uszła błyskawiczna wymiana spojrzeń pomiędzy Zawadowską i Balickim. Pomyślał, że wiedzą o wiele więcej, niż mu powiedzieli, ale nie podjął tematu. Usiadł w kącie pokoju, wyjął z kieszeni gazetę i na pozór zagłębił się w czytaniu. W ten sposób mógł swobodniej obserwować zarówno chorego, jak i tych dwoje. Oczekiwał nie tylko toksykologa, z Komendy Stołecznej wysłano ekipę dochodzeniowo-śledczą dla przeprowadzenia rewizji w domu Zawadowskich. Połowski wprawdzie wątpił, czy po upływie kilku dni można tu będzie natrafić na choćby jedną dziesiątą skradzionych specyfików, które najprawdopodobniej już wywędrowały daleko. Wymienił jednak Balickiemu trzy możliwości, a ślad którejś z nich dałby się może jeszcze odnaleźć. Brał również pod uwagę symulację utraty pamięci, co stwierdzić mógł wyłącznie fachowiec.

Nie znał doktora Balickiego. Wiedział o nim tylko, że jest znajomym Zawadowskich, bo tak mu się przedstawił, a to było niewiele. Nie miał prawa ani możliwości sprawdzić jego kwalifikacji zawodowych i moralnych.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI